(38) Litwin Jan

(k. 1)

Tryszczyn, dnia 8.V.1998 r.

Szanowny Panie!

Świadom jestem, że odpowiedzi moje na ankiecie nie były wystarczająco dobrze opisane; stosując się jednak do wymogów, by objętościowo nie były za duże - musiałem ograniczyć się do minium stron. Dostrzegam z Pańskiego pisma szersze zainteresowanie mnim życiorysem:

1. jak ja się dostałem do „Cerbera"?
2. co tam robiłem?

Krótkie odpowiedzi na te dwa proste pytania byłyby takie:

1. Wielka moja determinacja i ryzykanctwo
2. robiłem wszystko to, co należało do żołnierza

Gdyby wyczerpującą opisowo dać na to odpowiedź, nie starczyłoby na to kilkanaście stron papieru. Mogłby z tego powstać opasły tom pamiętników. Trzeba byłoby przy tym uwzględnić środowiska, uwarunkowania i to wszystko jak się różniło w okresach okupacji przez wrogów.

Jeśli mogę na to pozwolić to może począć od tego, że parafia Wołkołata z której pochodzę jest wymieniana w Encyklopedii Kościelnej - z dziejów biskupstwa wileńskiego jako z pierwszych na tych ziemiach za dynastii Jagiellonów. W całej długości dziejów mieszkańcy, ~~a później~~ parafii, a później i gminy miasteczka Wołkołata, byli wyznawcami wiary rzymskokatolickiej. Nie było obok kościoła świątyń innych wyznań, a co miało miejsca w sąsiednich miasteczkach - w Dumiszkach, Miadziole Postawach i td. Gdzie się spotykało prawosławnych - nazywano ich Ruskimi, Rusinów starowierców - Moskalami, mahometan - Tatarami... Sami zaś rzymskokatolicy określali się Polakami, - i tak tu było utrwalone i być inaczej tu nie mogło.

Nie chcę daleko sięgać do swoich praprzodków, wspomnę tylko o moim pradziadzie - Stefanie Litwinie z którym bardzo często kontaktował się ówczesny ks. dziekan parafii Wołkołata jako z fachowcem przy budowie nowego kościoła w ostatnich dziesięciu latach ubiegłego stulecia. Zdobył mój pradziad u księdza uznanie i zaufanie.

O czym dalej chcę pisać, to niewątpliwie, co zdarzało się w latach okupacji: Stefana już wnukowie

str. 2

w porozumieniu z kolei już z innym ks. proboszczem (wielkim autorytetem moralnym i gorącym patriotą polskim – odznaczonym orderami państwowymi) wstąpili do policji białoruskiej. Jedyny ten ksiądz znał język niemiecki, rozumiał wiele więcej niż inni – chciał jakoś chronić parafian przed wrogami. Być może już od tego czasu zaczynała się kospiracja AK. Dowodem czego może być chociażby to, że nieco później Niemcy naszego księdza rozstrzelali w Berezweczu.

Policjanci wywodzący się z parafii Wołkołackiej, a będący później w Dumiłowiczach, pochodzili z dobrych ludzi, których rodziny ucierpiały od bolszewików – pomordowanych ich członków rodzin, wywożonych w głąb Rosji. Po likwidacji posterunku żandamerii niemieckiej w Dumiłowiczach przyłączyli się oni do Oddziału Kmicica. Przyznać muszę, że moi krewni z obu stron, zarówno po ojcu jak i matki zawsze zdradzali swoją niechęć do wszystkiego, co było ruskie, czy bolszewickie. Jeszcze przed wojną należeli bądź to II Oddziału (dwójki) bądź do policji. Wielu później zostało wywiezionych przez NKWD a nawet rozstrzelanych.

Po rozbrojeniu przez sowietów Oddziału Kmicica nasiliła się prześladowcza działalność sowiecka na ludności szczególnie polskiej niechętnej do współpracy. Grabili i zabijali, pobierali przymusowo chłopców do swoich Oddziałów. Ja sam kilkakrotnie wyrywałem się im z rąk i już w końcu niesposób dalej było się ukrywać. Szczególnie dawały się z okrucieństwa tu poznać t.zw. Oddział „Bojowoj" – chyba Markowa, bryg. Rokossowskiego, bryg. Nowo-Witebska i inne.

Stało się w końcu coś dla mnie niespodziewanego, zjawił się w swojej wiosce Bolesław Skaczko, były żołnierz (plutunowy) Kmicica, po rozbrojeniu jego Oddziału. Nie został on zlikwidowany w bazie Kmicica, lecz przydzielony do ~~Manoh~~ Manochowców. Jako mój sąsiad wiedział on, że ja się ukrywam, poradził moim rodzicom żebym dołączył się do jego grupy i tym samym uniknąłbym zemsty przed prześladowcami. Z kolei po naradzie z moimi rodzicami zgodziłem się pójść z Bolesławem a jednocześnie potraktować pobyt u sowietów jako odskocznię do dalszego celu, bo przecież odległość z mojej miejscowości około 80 do 100 km do Oddziałów

Str. 3

Armii Krajowej była samemu mnie nie do przebycia.
Poprosiłem moją matkę, by udała się do księdza o wystawienie dla mnie metryki urodzenia, a więc jakotakiego dokumentu tożsamości, którego miałem użyć w wypadku udanej ucieczki z partyzantki sowieckiej. Istotnie był to dobry pomysł, co się później sprawdziło, ale o tym później.
Liczyłem na to, że być może uda mi się razem z Bolesławem uciec od Sowietów, jak z doświadczonym żołnierzem (plutonowym) o nienagannej pedtem przeszłości.
Niestety, Bolesław Skaczko był już tyko zakładnikiem, bo w wypadku jego nieposłuszeństwa zagrożona była jego rodzina. Stał się tylko posłusznym narzędziem do wykonywania poleceń, niezgodnym ze swoim sumieniem.
Jako plutonowemu dano mu do dyspozycji kilku bojców w celu zabierania u ludności żywności i odzieży dla brygady Manochina. Był więc takim szefem zaopatrzeniowem. Później przeniesiono go do Oddziału Wandy Wasilewskiej (do tzw. Wasilków).
Mnie tymczasem nie przymuszali do złożenia przysięgi partyzanckiej, nie dawali nosić broni lecz nosiłem w pochodach skrzynkę z bombami do bombomiotu.
Kiedy Oddziały partyzanckie znalazły się na lewym brzegu Wilii to pewnego razu wraz z grupą posłany byłem pełnienia służby w czujce. Miałem już broń i dużo amunicji, w torbie około 300 szt.
Wytropieni przez Niemców, obstrzelani uciekaliśmy w głąb lasu. Otworzyła się dla mnie okazja i skoczyłem niezauważony przez innych w gęste zarośla leśne, by już na zawsze rozstać się z sowiecką bandą.
Cel jednak do którego stanowczo i z uporem dążyłem był jeszcze trudny dla mnie do zrealizowania.
Modliłem się i chyba już Opaczność Boska kierowała mnie do dobrych ludzi. W pobliżu Krewa trafiłem do państwa Łokuciejewskich. Tam dałem ukryć karabin, amunicję i lornetkę, którą podchwyciłem siadającemu partyzantowi na konia, a ona mu zawadzała. Państwo Łokuciejewscy dali mi pewne wskazówki, to jednak sam musiałem szukać ludzi zaufanych z AK aby gdzie dojść i odnaleźć jakiś Oddział AK. Kierując się wciąż na zachód przez Krewo do Borun i wreszcie w Trasieczeniętach

(4) odnalazłem człowieka z konspiracji, pana Jana Duksę. We wsi było wesele i Jan był tam zaproszonym gościem. Zaraz i Ja znalazłem się za stołem weselnym. W dniu następnym obaj byliśmy u państwa Łokuciejewskich po odebranie broni i amunicji. W biały dzień z moim karabinem na plecach paradował Jan po ulicach Krewa aż naraz usłyszeliśmy za sobą warkot samochodów jadących z Niemcami. Ułamek sekundy zadecydował że karabin znalazł się w wozie u chłopa jadącego z bronami i rozsadą kapusty na swoje pole. Po przejechaniu Niemców Jan Dukso wziął karabin i amunicję i razem udaliśmy się do domu jego szwagra. Inną znów przygodę miałem z Janem nikomu nie po zazdroszczeniu. U sąsiada Jana siedzieliśmy za stołem. I naraz wpadli do tego domu dwaj partyzanci sowieccy. Jeden to rodzony brat sąsiada, drugi Rosjanin. My obaj z Janem, byliśmy już pewni, że będzie już po nas. Tymczasem cała pozostała rodzina partyzanta objechała różnymi wyzwiskami przybyszów, że tamci prędko ulotnili się z domu. Sąsiad Jana Duksy, ~~okazał się~~ prawosławny, ale żyjący z nim w zgodzie.

Po tym ostatnim wydarzeniu doprowadzono mnie do Oddziału „Cerbera" w dniu wizyty „Jaremy". Przypuszczam, że Jaremie zależało na przesłuchaniu mnie osobiści, przez samego siebie. Dotyczyło to uzbrojenia partyzantki sowieckiej, jej działalności w terenie i nastroju ludności do Sowietów. Na pocieszenie mnie Cerber powiedział: „będzie żołnierzem". Odmaszerowałem do swojej drużyny i tu mnie spotkał szef kompanii, który poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „zuch chłopak - tak było trzeba". W dniu następnym w niedzielę podczas ~~ol~~ Mszy Św. polowej we wsi Dorże stanąłem ~~do~~ wraz z innymi do przysięgi. Przysięgę odebrał ksiądz kapelan (Wiktor Gogoliński ?)

Pisząc powyższe nie chcę przytaczać dat wydarzeń, bo przecież nie były po temu warunków, nie prowadziliśmy notatników.

Jeśli mi wiadomo, to w dniu wybuchu powstania Oddział cerbera znajdował daleko na wschodzie powiatu oszmiańskiego. Ruszył pod Wilno, kiedy Niemcy cofali się przed naporem wojsk sowieckich. Oddział nasz miał trudności przerwać szosę oszmiańską. Pamiętam jak na koniu nie osiodłanym (na oklep) wraz z ~~ka~~

kawalerią pędziłem przez szosę i dalej dolinami. Konia mi później zabrano i dreptałem razem z piechrami. Gdzie indziej byliśmy ostrzeliwani, aż wreszcie znaleźliśmy się pod zadymionym już w boju Wilnem. W pobliżu majątku „Szwajcary" pełniłem służbę ~~na dro~~ przy drodze którą przejeżdżał pierwszy sowiecki zwiad; skierowane lufy broni automatycznej były na mnie. Odezwali się bajcy: wy kto takije? – odparłem: – my polskije parcizany. Byłem w niewygodnej sytuacji, bo miałem założony mundur niemiecki. Pokazywałem opaskę biało-czerwoną i orzełek. Byłem zaraz zdjęty z posterunku i nikt już potem tam nie stał. W dniu następnym tą drogą posuwała się kolumna uzbrojonych Niemców i konwojowanych przez nich robotników będących w niewoli. Epizot ten jest szeroko znany z książek Banasikowskiego i Żebryka.

Koleje losu doprowadziły mnie i do Puszczy Rudnickiej. Kiedy chętnych rozpuszczano do domów, ja pozostawałem przy dowódcach. Wiadomo co się stało: przez Rudniki – Miedniki i ze stacji Kiena wieziono transportami do Kaługi. Przypomnieć warto, że na postoju w Orszy konwojent zastrzelił żołnierza z wagonu, który przez okienko chciał się załatwić wysuwając tyłek na zewnątrz. Ponoć prędko zmarł, ale też możliwe, że też mogli i żywcem pochować. To wydarzenie można było oglądać tylko przez szpary wagonu. Wioząc nas do Kaługi nie dano nam wody do picia przez całe okrągłe 3 dni – dodać należy po zjedzeniu śledzia i sucharów. Po niezwykłym transporcie w Kałudze czułem się już chory. Zdrowsi kolumną odmaszerowali, a chorym kazano stawajcie pod ścianę, wyglądało to tak jakby mieli nas rostrzeliwać.

Wraz z podobnymi zostałem odwieziony do szpitali. W Kałudze nie ujawniałem swoich danych osobowych, bo wiedziałem, że ze mną może być najgorzej. Podałem więc zmyślone Nazwisko i rocznik 1928, czyli o 4 lata młodszym. Traf tak chciał, że rocznik 1928 i roczniki młodsze ~~zost~~ podlegały zwolnieniu do domów. Wróciłem do rodziców lecz musiałem ukrywać się przed NKWD, które tropiło każdy krok za ukrywającymi się od poboru do wojska.

Długo nie mogłem ukrywać się w domu i postanowiłem wraz z grupą mnie podobnych przeprawić się przez tzw. granicę Curzona. Zrealizowałem swój zamiar ale w Polsce przestało mi jakiś czas prowadzić życie tułacze. Podjąłem się próby ucieczki na Zachód (r. 1946) ale zostałem zatrzymany na Czechach. Tam trafiłem do łagru zwanym „Hagibor", później do więzienia w Ostrawie Morawskiej i z kolei do Polski. Po rozprawie w Sądzie w Bielsku Białej zostałem zwolniony.

Odnalazłem w kraju rodzeństwo jako repatriantów ze Wschodu, ale nadal pozostałem odmieńcem z piętnem. Powołano więc mnie do wojska w 1951 do batalionu budowlanego w Jedn. Wojsk 1621.

W roku 1956 ujawniłem swoją przeszłość w AK. Szykany i szantaże nigdy mnie ze PRL-u nie ominęły.

W tej chwili żyję w samotności i mam dużo czasu na rozmyślanie na wspominanie.

Z wieloma przeżyciami, tak być to musiało, bo chciałem żyć w zgodzie ze swoim sumieniem.

Kończąc dodam, jeśli to wszystko takie nudne, to za pisaniem — niech Pan to zniesie.

Z poważaniem

Jan Litwin

(str. 6)